Nr. 30 Rok 2 Kraków, dnia 27 lipca 1941. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



„KTO Z WAS BOI SIĘ CZARNEGO LUDA!"

Fot. Borek-I. K. P.



SAMOLOTY ZNISZCZYŁY LINIE DOWOZOWE

W walce przeciw wojskom bolszewickim atakowały zawsze skutecznie także i samoloty niemieckie. Na zdjęciu naszym widzimy jakiś dworzec sowiecki po nalocie niemieckim. W ten sposób zostały zniszczone prawie wszystkie ważne linie kolejowe i punkty węzłowe, tak że dowożenie rezerw wojsk i materiału wojennego stało się niemożliwe.

Na prawo:

ARTYLERIA RUMUŃSKA NAD PRUTEM

Na naszej ilustracji widzimy artylerię rumuńską nad Prutem, skąd ostrzeliwała stanowiska sowieckie po drugiej stronie rzeki, zdobywając w ten sposób wolne przejście przez rzekę i możność dalszego pochodu.

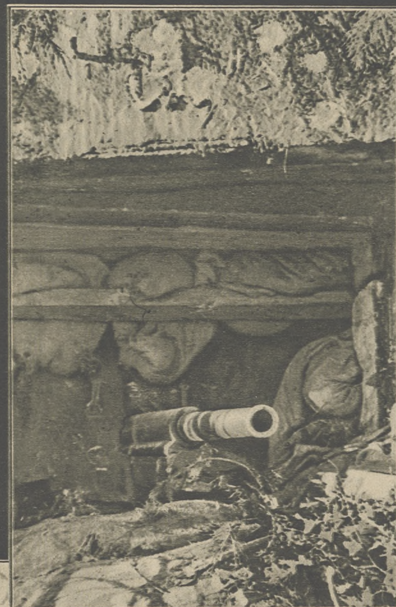


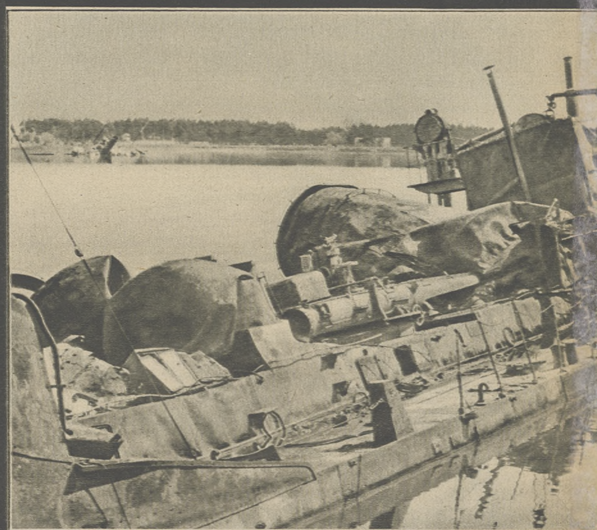


Front zjednoczonej Europy

LEGION FRANCUSKI

Także we Francji zgłaszają się ciągle nowe zastępy młodych Francuzów na front bolszewicki. Na zdjęciu u góry na prawo: Biuro werbunkowe legionu francuskiego w Paryżu, gdzie właśnie zapisują się nowi ochotnicy na listy.







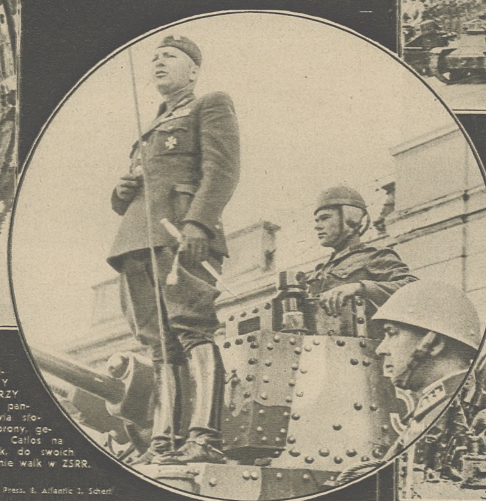


HISZPAŃSKA BROŃ PANCERNA PRZECIW ROSJI

Na naszym zdjęciu widzimy hiszpańskie jednostki zmotoryzowane na defiladzie w Madrycie tuż przed wyruszeniem na front bolszewicki.

WĘGIERSKA OBRONA PRZECIWLOTNICZA

Oto węgierskie działo przeciwlotnicze stojące gotowe do obrony na froncie węgiersko-sowieckim.





MARYNARKA SOWIECKA...

...poniosła także cały szereg strat ze strony niemieckich sił morskich i powietrznych. Zdjęcie nasze pokazuje nam sowiecki okręt „Lenin", który po ataku niemieckim przedstawia się już tylko jako wrak. W głębi po lewej jakiś inny okręt napół zatopiony.

Na lewo u góry:

DZIAŁA W BUNKRACH

Jeszcze w ostatniej chwili wyposażone zostały forty na linii Stalina w działa artyleryjskie, by mogły lepiej stawiać opór. Ale i to nie zdało się na nic, gdyż atakom niemieckim nie mogły oprzeć się i najcięższe forty linii Stalina.

Na lewo:

TO BYŁO STANOWISKO KARABINU MASZYNOWEGO

Oto zabita sowiecka obsługa karabinu maszynowego z linii Stalina po ataku wojsk ϟϟ. Jak skoszeni leżą czerwoni żołnierze pomiędzy zniszczoną bronią, wśród zagajnika, który miał być dla nich ochroną i maską.

SŁOWACKI MINISTER OBRONY WŚRÓD ŻOŁNIERZY

Stojąc na wozie pancernym, przemawia słowacki minister obrony, generał Ferdynand Catlos na przeglądzie wojsk, do swoich żołnierzy na terenie walk w ZSRR.

Fot. Ass. Press, 8. Atlantic 2, Scherl







NA FRONCIE AFRYKAŃSKIM

Także i w Afryce trwa w dalszym ciągu walka przeciw Anglii. Na naszym zdjęciu na lewo widzimy ulicę w napół zniszczonym Tobruku po nalocie niemieckim. Żołnierze australijscy torują sobie drogę wśród gruzów. Na prawo — Port Said nad Kanałem Suezkim, który tak jak i porty w Aleksandrii, Haifie i Malcie i w innych bazach angielskich, ucierpiał bardzo od ciągle powtarzających się nalotów lotnictwa niemieckiego i włoskiego.

TO BYŁA LINIA STALINA!...





Dzień za dniem podawał niemiecki komunikat wojenny ostatnich dni o przełamaniu umocnień linii Stalina. W przeciwieństwie do linii Maginota składa się linia Stalina nie tylko ze sztucznie zbudowanych umocnień i fortów. Mianem tym objęto w znacznej części także naturalne przeszkody przede wszystkim lasy, rzeki i błota. Ale i te naturalne przeszkody i te liczne fortyfikacje, które bardzo często były doskonale maskowane jako stodoły i obejścia wiejskie, nie mogły powstrzymać pochodu wojsk niemieckich i zjednoczonych z nimi w walce przeciw bolszewizmowi żołnierzy Europy, nawet jeżeli ze wszystkich luf linii Stalina strzelano, nawet jeżeli zamknięci przez swych oficerów w bunkrach żołnierze kirgiscy i żołnierze z Georgii bronili się do upadłego i nawet jeżeli każdy fort zionął ogniem piekielnym.









Tak wyglądało w zdobytych bunkrach. I grube ściany betonowe nie mogły powstrzymać naporu nowej Europy, złączonej w walce przeciw bolszewizmowi i chciwym krwi czerwonym władcom na Kremlu.

Mózg i dusza

Śmiał się z tego dudnienia w pismach. Premiera jego ostatniej sztuki poruszyła do żywego opinię. Nawet niefachowcy wypisywali się na tyle na ile stać ich było. Ale sztuka szła.

Kontrast triumfu teatralnego i głos urbi et orbi był tak jaskrawy, że chwilami spazm śmiechu przerywał mu myśli. Nie pozwalał wsłuchiwać się we własne dzieło.

W rzeczywistości było to, jak we wszystkich sztukach Strońskiego, uporządkowanie jakiejś zawiłości duchowej. Problem procesów psychicznych z ich materialnym podłożem stanowił rdzeń niemal każdego jego utworu. Nie jest on bowiem tylko zagadnieniem psychofizjologii lub medycyny ale każdego poglądu na świat. Tym więc należało tłomaczyć wielkie poruszenie zarówno wśród specjalistów jak i szerokich kół inteligencji.

„Mózg i dusza" — jego ostatni dramat — był treścią treści dotychczas napisanych; i był ostatnim wyrazem, kropką nad „i"; uderzeniem o dno myśli twórczej. Geniusz — wariat — dwa krańcowo przeciwne znaczenia, a dzieli je rzekomo kropka — powiadają — żeby stały się jednem; dwa światy ludzkiej fabrykacji, padły Strońskiemu do stóp.

Ale w tym dniu przełomowym nie tego oczekiwał autor „Mózgu i duszy". Nie był nawet w teatrze. Wiedział, że grano sztukę, jak zawsze, starannie i znakomicie. Że główne role obsadzono aktorami o nieprzeciętnym talencie, to było niewątpliwe, a rolę Anny, bohaterki dramatu, grała Anna Turska. W dniu tym a właściwie od dnia tego Stroński oczekiwał znaku od Turskiej.

— Jakie wrażenie wywarł na niej dramat? Czy przekonał ją? — myślał.

Ukazał w „Mózgu i duszy" siebie bez osłonek, ale zarówno i jej nie oszczędził. A może znów ją obraził. Zresztą, jak zawsze... Pamięta dobrze ostatnią ich rozmowę. To sprawiło, że narodził się dramat. Włożył weń całą potęgę myśli. Z artyzmem przeprowadził tragizm uczuć rozpiętych jak pomost między mózgiem i duszą nad tajemną życia przepaścią. I rzeczywiście. Schodzili w tę głębię życia przyjaciółmi i wrogami zarazem. Nienawidzili się i lgnęli ku sobie. Wreszcie odeszła. Ile razy tak było... Teraz zdawało się bezpowrotnie. Mógł w tym czasie napisać sztukę, wystawić ją i myśleć. A było nad czem. Nad Anną Turską — kobietą sui generis. Więc myślał. Przyznać musiał, że nie było to wcale przyjemne. Nie mógł atoli a może nie chciał mimo wszystko pozbawić się tego ostatniego pomostu do niej. Tok myśli przerwała dopiero sama Anna. Zjawiła się nagle, niespodziewanie.

— A jednak przyszłaś. Musiałaś przyjść Anno!

— Nie zmieniłeś się Marku. Nie zmieniło cię nic, propagatorze wiedzy naukowej na scenie przez którą przesiewasz fizjologiczne i psychiczne funkcje na drodze empirii i tym pragniesz osłonić siebie, wszystko, jak dotychczas żyłeś.

Mówiła z sarkazmem. Siliła się dotknąć jego dumę i ambicję.

— Usprawiedliwiasz się przed sobą i przede mną. Nie mogę odmówić ci zdolności konstruowania tych nieuchwytnych zjawisk, które tylko artyści, istotnie odczuć potrafią, ale przyznać ci rację to kwestia [illegible].

— Po co więc przyszłaś?

— Po co to napisałeś, Marku!

— Przejąłem się starorzymską zasadą „ludendo discere" uśmiechnął się ironicznie.

— Więc, jak dotąd, tak dalej; bawić się mną, żeby uczyć.

— Tłomacz to jak chcesz, Anno! Lepiej pomówmy rozsądnie.

— Wróć do mnie! — to chciałeś mi powiedzieć.

— Tak!

Patrzyli przez chwilę na siebie w milczeniu. Stroński myślał, jak mało zmieniła się. Była taką, jaką ją znał — silną. W miarę rosło w nim podniecenie, chęć pokonania, łamania tej dziwnej kobiety. Tak samo myślała Turska.

— To jest niemożliwe — podjęła. — Wiesz dobrze. Zaczęłaby się znów włóczęga po świecie... Gonitwa bez celu... Szaleństwa. Głupie i czcze wyżywanie się. To tylko dlatego, że ty bez wrażeń, silnych bodźców zewnętrznych nie jesteś zdolny tworzyć.

— A „Mózg i dusza"!?

— Chciałeś mnie upokorzyć. Wydeptałeś ścieżkę do mej duszy z której uczyniłeś pozytywkę dla widowni i przeciwstawiłeś jej swój mózg.

— I grałaś to z przejęciem. Dowiodłaś sama przez się, czym jest ta twoja dusza.

— W opinii krytyki oceniono moją grę, lecz o „Mózgu i duszy" sądzą różnie.

— Jeśli mówią, żem głupi — mówią o sobie. Nazywają geniuszem — cenią siebie.

Trząsł pliką gazet przed oczami Anny i szarpał nim śmiech.

Tłukł tym śmiechem w nią jak kamieniami. Niepisany akt dramatu rozgrywał się w nich teraz do końca.

Anna bała się Marka, którego nigdy ogarnąć i przeniknąć nie była zdolna. Od czego był zależny? Od jakich sił przyrody i funkcji duchowych czy cielesnych?

Stroński jakby przeczuł co myśli. Nagle przestał się śmiać i powiedział:

— „Mózgiem i duszą" osiągnąłem dno mojego talentu, za którym jest niewiedza. Nie napiszę już nic. Zmień się więc i coś w moim życiu, bo coś z niego umrze. Jeśli ty osiągnęłaś szczyt swej kariery artystycznej i dotknęłaś dna swej twórczej duszy przez mój dramat — zostań. Może życie dla nas inaczej się wtedy ułoży. Lżej i zrozumialej.

Patrzyła na niego osłupiała. Nie spodziewała się tego po nim nigdy. Zbyt świeżo w pamięci i niezrozumiała tkwiła w niej rola Anny z „Mózgu i duszy", którą czuła się dotknięta, bo ją wyśmiał bezczelnie i okrutnie.

A teraz...

Śmiała się jak Stroński, krótko, spazmatycznie.

St. Mróz.

Dwa Sny?

Mówiono o snach.

Blada Laura — pół medium, pół artystka — zaczęła opowiadać w jaki to sposób sen wyciągnął ją przed laty z ciężkiej finansowej sytuacji.

— Poprzednia wojna załapała mnie w Londynie. Odcięta od kraju, rodziny i renty poczułam się w desperackim położeniu. Przerachowałam zawartość swej torebki. Pozostawało mi zaledwie trzy funty i parę szylingów. Co robić? O pracę w obcym mieście nie łatwo. Widziałam się przymierającą głodem. Widziałam się wyciągającą drżącą rękę do przechodniów. Widziałam się skaczącą w mętne wody Tamizy...

I dramatycznym okiem powiodła po słuchaczach.

— Otóż śni mi się pewnej nocy, że jestem na wyścigach w Newmarket. A muszę nadmienić, że nigdy tam nie jeździłam. Wyścigi bynajmniej mnie nie interesowały. Siedzę na natłoczonej publicznością trybunie i czekam, wraz ze wszystkimi, na rezultat jednej z gonitw. Jakaś pretensjonalna miss zasłania mi widok toru żółtą parasolką, haftowaną w srebrne irysy, więc chcę ją poprosić by raczyła zamknąć to narzędzie, gdy oto, w tej samej chwili zawrzało na trybunie, jak w garnku. Ludzie zrywają się z miejsc, wymachują kapeluszami, chusteczkami... I ryk: — Wygrał! Wygrał! — więc zniecierpliwioną dłonią odsuwam ten żółty ekran i próbuję dojrzeć zwycięzcę. Ku memu wielkiemu zdziwieniu dostrzegam jakąś wychudzoną szkapę w szlei na karku i z wlokącymi się poza nią orczykami. No i obudziłam się.

— Śmieszny sen — pomyślałam — Koń w zaprzęgu wygrywający bieg! Cóżby to mogło znaczyć? I w pierwszym kiosku kupuję program wyścigowy. Przeglądam go skrupulatnie. Szukam wśród nazw koni odpowiedniej wskazówki. Szukam i szukam, no i w piątym biegu trafiam na konia, który się nazywa „Caraway", czyli dosłownie: „Pojazdu nie ma" i odrazu przychodzi mi na myśl, że ten koń w zaprzęgu, lecz bez pojazdu, będzie zwycięzcą...

— No, no — wtrącił zawsze sceptyczny adwokat Kaliński — Trzeba kobiecej wyobraźni by w tak naciągany sposób tłumaczyć sobie sen.

— A jednak miałam rację, tymbardziej, gdy wchodząc do Bookmachera natknęłam się na damę zamykającą w progu domu żółtą parasolkę haftowaną w srebrne irysy. Ten szczegół utwierdził mnie w przeczuciu i z całą wiarą zaryzykowałam ostatnie pieniądze...

— I wygrała pani?

— Wygrałam. Outsider był niebywały. Płacono 25 za 1. Odrazu stanęłam na nogi.

— No i cóż pan na to — zwrócił się adwokat do milczącego, jak dotąd, pana radcy i zniżył głos. — Chyba ona blaguje.

— Wątpię. Takiej sytuacji nie wymyśla się na poczekaniu. Poza tym ja wierzę w sny. Nie mogę nie wierzyć. Przed dwoma laty sen uratował mi życie...

— Więc jakżeż to było — zainteresowano się.

— Śniło mi się, że czekam na windę w jakimś dużym hotelu. Dzwonię, dzwonię i niecierpliwię się. — Do cholery — klnę — czyżby ten instrument nie działał! Długo to trwa, aż w końcu podchodzi do mnie jakiś rudy mężczyzna, w niebieskim krawacie, i rzecze: — Gdy ja zadzwonię, to zjedzie! Zadzwonił i momentalnie usłyszałem charakterystyczny szmer opuszczającego się liftu. Drzwiczki otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich...

— Obsługiwacz — zaśmiał się adwokat.

— Ale jaki! Kościotrup odziany w granatowy spencerek z rzędem srebrnych guziczków. Odskoczyłem od windy i obudziłem się z wrażenia.

— No i co dalej?

— Nazajutrz już nie pamiętałem swego snu. Liftami jeździłem bez żadnej idiosynkrazji, gdy oto, będąc w Wiedniu za interesem, czekam w hotelu na windę. Równocześnie ze mną jakiś rudy jegomość przystaje przy hermetycznie zamkniętych podwojach. — Skąd ja go znam — suszę sobie głowę. — Ta ruda głowa, ten niebieski krawat — a gdy drzwiczki windy otworzyły się z trzaskiem i ukazał się obsługiwacz odziany w granatowy spencerek z rzędem srebrnych guziczków, mój sen stanął mi żywo w pamięci. — Nie jedź pan tą windą — szarpnąłem rudego jegomościa za połę jesionki. Spojrzał na mnie jak na wariata i wszedł do wnętrza. Winda zapaliła się pomiędzy drugim a trzecim piętrem i nikt nie wydostał się stamtąd.

Hazet.

Proszę o wyraźniejszą receptę!

W Szwecji weszła w życie nowa ustawa, według której lekarze zobowiązani są do wyraźnego i czytelnego wypisywania recept. Jaka jest przyczyna w ogóle, że lekarze prawie wszyscy bez wyjątku wypisują recepty tak niewyraźnie, że laik, a często nawet sam aptekarz tego przeczytać nie może? Ciekawe i znamienne przytem jest, że ta niedbałość rozpowszechniona jest u wszystkich lekarzy na świecie. Można by to wytłomaczyć tym, że dawniej lekarze ze względu na bezpieczeństwo swych pacjentów pisali rozmyślnie tak niewyraźnie. Obawiali się też z pewnością nadużyć z tej strony. Ten powód stał się napewno przyczyną powstania tradycji, w myśl której lekarze w dalszym ciągu wypisują zamiast recept łamigłówki dla aptekarzy, którzy bądź co bądź są i tak już zaznajomieni z lekarstwami podanymi w recepcie i którym z tego powodu nie powinno sprawić trudności odczytanie choćby najzawilszego hieroglifu lekarskiego. Przyzwyczajenie stało się i tu drugą naturą, nie pomagają na to nawet przepisy aptekarskie. Obecnie Szwecja wypowiedziała walkę rebusom lekarskim i prawdopodobnie pójdą za nią i inne kraje.

Zakończenie letniego sezonu muzycznego

Wśród szczelnie wypełnionej sali kina „Urania" w Krakowie odbył się dnia 17 lipca ostatni koncert Orkiestry Filharmonii w tym sezonie. Wszyscy miłośnicy muzyki z przyjemnością wysłuchali tego koncertu, którego program obejmował utwory Liszta, Hugo Wolfa, Mozarta i Rimskij-Korsakowa. Niespodzianką był koncert fortepianowy Mozarta odegrany z towarzyszeniem części orkiestry przez dyrygenta p. R. Erba, podczas gdy przy pulpicie zastępował go po raz pierwszy młody dyrygent i pierwszy skrzypek orkiestry, p. Sonnleitner. Ostatni koncert pozostawił na zachwyconych słuchaczach niezatarte wrażenie, które należy przypisać przede wszystkim doborowi programu. Przede wszystkim ostatnia część koncertu „Kaprys hiszpański" Rimskij-Korsakowa bardzo się podobała, tak że na życzenie publiczności, oklaskującej ją z zapałem została ona powtórzona.

Na naszych zdjęciach widzimy po lewej p. R. Erba przy fortepianie i p. Sonnleitnera przy pulpicie, po prawej zaś p. Erba podczas dyrygowania ostatniej części koncertu.



WIEC STRAJKUJĄCYCH ROBOTNIKÓW W U. S. A.

Na ilustracji widzimy tłumny zjazd amerykanskich robotników z fabryki samolotów „North American Avationon Flant" w Ingelwood w Kalifornii. Po wybuchu strajku zajęli żołnierze warsztaty samolotów dla ochrony urządzeń przed uszkodzeniem.



CZUNGKING PO ALARMIE LOTNICZYM

Stolica chińskiego rządu Czang-Kai-Szeck'a, pozostającego w stałym kontakcie ze Sowietami, jest częstym celem japońskich nalotów. Na ilustracji widzimy tłumy ludzi opuszczające schrony po nalocie i powracające do domów. W tyle zburzone domy.



BYŁY KRÓL PIOTR W ANGLII

I znów jeden „władca z łaski Anglii i U. S. A." uciekł do Anglii. Na ilustracji widzimy byłego króla Jugosławii Piotra II w drodze z Palestyny do Londynu, gdzie przyjął go książę Kentu.



MARSZAŁEK PETAIN CZY CHURCHILL?

„Francuzi! Marszałek Pétain jest lepszym sędzią czci i interesów Francji, niż panowie Churchill i Roosevelt!" Plakaty tej treści wystawiono w czasie odwiedzin francuskiego szefa Francji w Limoges we wszystkich wystawach sklepowych.



KOBIETY MUSZĄ POMAGAĆ

W angielskich miastach niedawno zatrudniono kobiety przy usuwaniu gruzów po nalotach. Nasza ilustracja przedstawia angielskie kobiety przy sortowaniu cegieł. Wszystkie kobiety palą, ponieważ papierosy są obecnie w Anglii rzadkością.

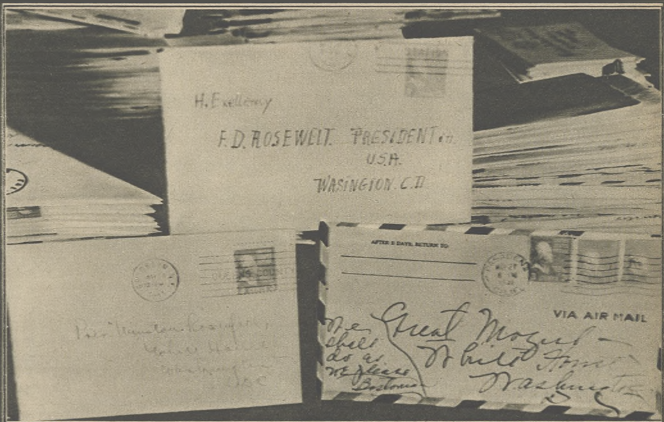
NA MARGINESIE WYDARZEŃ



POJMANY OFICER ARMII SOWIECKIEJ

Oto żołnierz niemiecki podający oficerowi sowieckiemu wziętemu do niewoli niemieckiej jeść i pić. A propaganda bolszewicka, aby ożywić ducha bojowego swoich wojsk rozszerza wiadomości, że wszyscy jeńcy zostają rozstrzelani.

Fot. Ass. Press & Atlantic



LISTY, KTÓRE DOSZŁY

Wśród licznych listów, które otrzymał prezydent Roosevelt po swoich ostatnich mowach, znajdowały się też te oto trzy listy. Są one zaadresowane: „Mr. Rosewelt", „Winston Rosenfeld" i „Do Wielkiego Mogoła w Białym Domu" (z dopiskiem z lewej strony: Zrobimy, co zechcemy). Poczta USA wiedziała do kogo one były adresowane, listy doszły więc do prezydenta.

Któż was boi się czarnego luda?



Tu własnie otwiera się naszemu kominiarzowi „okno na świat".







„Jak się masz kolego, witaj!" Inni ludzie spotykają się na plantach lub w kawiarni, kominiarze zaś na dachach.

Po uporządkowaniu kominów, smakuje papieros wypalony na brzegu komina.

Ileż ślicznych podworców, owianych urokiem minionych wieków, widzi kominiarz w swej wędrówce po dachach.











Dziecko nie widzi jeszcze kominiarza, ale i tak by się go nie przestraszyło.



Wiele takich naturalnych scen, nie maskowanych świadomością, że ktoś obserwuje, podpatrzy kominiarz.





Żaden człowiek nie patrzy na ludzi chyba tak bardzo z góry jak nasi czarni a mimo to tak mili kominiarze. O ile „patrzenie z góry" zawiera w normalnym znaczeniu przenośnię i to dość nieprzyjemną, o tyle patrzenie z góry naszych kominiarzy nie kryje w sobie żadnych niemiłych niespodzianek, może jedynie wtedy, gdy podpatrzą jaką „Dianę w kąpieli".

Nasi kominiarze patrzą więc z góry. Z trochę niższej niż np. lotnicy lecący samolotem, ale i tak z wyższej góry niż zwykli mieszkańcy miast. Patrzą nie tylko na ludzi, ale równocześnie na życie płynące gdzieś po słońcem wysrebrzonym torze kolejowym, na placach targowych w mieście, w mieszkaniach, w pełnych uroku podworcach starych domów, otoczonych jak wieńcem gankami.

Czasem właściwie nie wiemy nawet, że do naszego domu przyszedł kominiarz. Dopiero, gdy usłyszymy znany nam już szmer w kominie, gdy usłyszymy kulę, do której przyczepiona jest miotła, spadającą aż na samo dno komina, gdy — co się też czasem zdarza — buchnie na kuchnię mniejszy lub większy kłąb sadzy, mamy znak, że kominiarz znowu nas odwiedził.

I kiedy widzimy go stojącego na przeciwległej ścianie, beztroskiego, umorusanego z pracy, gwiżdżącego, odczuwamy zamiast niego strach o jego życie.

Jeżeli jednak spojrzymy na nasze zdjęcia, na których widzimy, że wesoły kominiarz pozwala sobie jeszcze na sztuki akrobatyczne na — można by powiedzieć — skraju przepaści, okazuje się, że obawy nasze są przedwczesne. Zdrowe nerwy ma nasz kominiarz i wiele odwagi, nie mówiąc już o wygimnastykowaniu, godnym akrobaty otrzaskanego z trapezem.

Różowo patrzy on na świat, mimo że sam jest czarny. Może na ten jego beztroski humor — jeszcze nie widziałam kominiarza smutnego — wpływa to, że stojąc na kominie, często w towarzystwie kawek, które lubią to ciepłe sąsiedztwo, ma widok na świat i że niejedno widzi, czego drudzy dojrzeć nie mogą. Stąd ten uśmiech szeroki, w którym bielą się tylko zęby i oczy.

A kiedy po skończonej pracy obmyje się z sadzy i zamieni berecik kominiarski na elegancki kapelusz, nikt nie pozna kominiarza w tym nowym człowieku, który mimo woli zagląda nam w życie. Nikt jednak z nas nie boi się naprawdę czarnego luda, bo wiemy, że dba on o nas i jak tyle innych ludzi, pomaga nam w tym życiu.

Fot. Borek-I. K. P.

Mistrz dusz

Napisał
Gjuro Vilović

9 ciąg dalszy

Autoryzowany przekład z chorwackiego W. Podmajerskiego

STRESZCZENIE DOTYCHCZASOWYCH ODCINKÓW:

Do wsi Vrela, prowadzącej od 57 lat walkę z proboszczami przychodzi nowy proboszcz, don Lovro, który przez swój osobisty urok, godzi wieś z diecezją. Don Lovro opuścił dawną parafię dlatego, że mieszka tam nauczycielka Maja, która kocha księdza i którą też ksiądz kocha. Kancelaria biskupia, zdumiona tak prędką zmianą nastroju we wsi Vrela, przysyła proboszczowi wikarych na naukę władztwa dusz. Jednakże służący proboszcza i zarazem jego kucharz i zaufany, Vito, obawiając się, by przez przybycie tych wikarych nie zmniejszył się wpływ proboszcza na ludzi, doprowadza do tego, — sposobami zupełnie zresztą niewinnymi — że kapelani opuszczają dobrowolnie wieś. Trzeci kapelan zdobywa sobie jednakże miłość wsi i to nie tylko dzięki osobistemu urokowi, lecz także dzięki głębokiej wierze, która z niego promieniuje. Nauczycielka Maja przysyła tymczasem list za listem, w których tęskni za don Lovrem i w których daje mu poznać, że opuszczenie dawnej parafii było ze strony don Lovra aktem ucieczki przed nią, co jest zgodne z prawdą. Don Lovro jedzie do niej na kilka dni, potem wraca. Tymczasem toczy się życie we Vrelach swoim trybem, wieś podzieliła swoje uczucia pomiędzy obu księży, co bardzo martwi Vita, zazdrosnego o powodzenie swego pana. Po kilku miesiącach proboszcz otrzymuje list od Mai, w którym ta donosi mu, że zostanie matką. Don Lovro jest przerażony, gdyż fakt ten uważa za przeszkodę dla swojej działalności kapłańskiej. Chcąc zyskać na czasie, zamierza wyjechać z wycieczką do Ziemi Świętej.

Chciał jeszcze raz zbadać, czy jego postanowienie jest rozsądne. Poszukał między papierami w szufladzie obrzka ostatniego listu Mai.

Wiedział dokładnie, gdzie go położył. List i miejsce, na którym leżał, jakgdyby naciskały i przygniatały jego mózg. Nie szukał go nawet, sięgnął tylko ręką do szuflady i wyciągnął list.

Za późno pokazałeś się obrzydliwym, Loro! Nigdy nie mogłam przeczuć, skąd wyjdzie twoja brzydota. Uciekasz od misterium nowego obywatela. Jesteś znowu w ucieczce. Mój Boże, jak ja jasno widzę pustkę w twoich słowach, gdy mi mówisz, jak i ty jesteś przy mnie i tym moim wydarzeniu. Słowa te są tak lodowate i czcze, że aż dzwonią pustką. Pomiędzy wierszami stoi twardo i niezbicie, że mój wypadek jest dla ciebie straszny, straszny jak wyrzut sumienia. Wolałbyś najchętniej i czułbyś się szczęśliwym, gdyby go w ogóle nie było. Wyobrażam sobie, jakbyś podskoczył z radości i ze szczęścia, gdyby ci ktoś szepnął sugestywnie:

— To nieprawda. To był tylko brzydki sen.

Nie, nie śniło ci się. To rzeczywistość, Loro, i choćby nie wiem jak była dla ciebie straszna, ona jest prawdziwa. Jedyną dla ciebie pociechą i jakgdyby jedynym dla ciebie ratunkiem jest to, że wszystko to dzieje się we mnie w odległości 180 kilometrów.

Twoje zainteresowanie jest kłamliwe, twoje słowa są kłamliwą uprzejmością! Mówi mi o tym pustka w liście, w którym ani jednym słowem nie pytasz o nie, nic cię ono nie ciekawi. Nie znalazłeś ani jednego zdania o nim, choć ono zapełnia całą moją istotę.

Jakżeż obrzydliwy jesteś dla mnie, jakże obrzydliwe są Twoje pieniądze, które przeznaczyłeś dla mnie. Zapłata? Honorarium? Pieniądze? Jakgdyby się coś sprzedawało i kupowało? Mogłeś wyraźnie powiedzieć o alimentach, które mi ofiarujesz w poza sądowej ugodzie. Ja nie potrzebuję Twoich pieniędzy, potrzebuję tylko Twojego uczucia. Twojego wewnętrznego zainteresowania tym, co się dzieje we mnie. Pisałam Ci o tym, jak to potrzebny jest partner przy tym misterium. Ani jednym słowem nie potrąciłeś o to moje pragnienie. Nie próbowałeś nawet, aby mi okazać jakąś kłamliwą uprzejmość, aby mi przynajmniej zaprószyć oczy czymś trochę miłym. Zapewniam Cię, że nawet to przyjęłabym bodaj na chwilę i cieszyłabym się tym kłamstwem, a może nawet i wtedy, gdybym była przekonana, że nie zostało wypowiedziane zupełnie poważnie. Przynajmniej łudziłabym się nadzieją i fałszywym tłumaczeniem. Potrzebuję Cię, byś mnie tylko słuchał, gdy o nim mówię, byś pytał, co robi to maleństwo, czy się rusza. Jestem pełna uczucia, pełna jak nabita strzelba i pragnę, aby ta strzelba wypaliła, żeby w jej huku wyładowało się to, co się nazbierało we mnie...

...„Dochody moje są wielkie. Przygotuję Ci prześliczne mieszkanie w mieście, które sama wybierzesz. Będziesz tam żyć i wychowywać maleństwo..." Tak mi napisałeś. Dziwię się, że nie dołączyłeś i papierów bankowych, które mi poręczają stały miesięczny dochód i nie dodałeś jeszcze Twojego życzenia, abym się posunęła dalej choćby o 20 do 30 kilometrów...? Obrzydłeś mi, lecz za późno. Teraz zupełnie mi to nie pomoże. Widzę, teraz dopiero rozumiem owo Twoje powiedzenie: Nie wolno mi być niczyim. Uczuciowo nie możesz należeć do nikogo, do nikogo... Powtarzam: do nikogo. Ni do mnie, ni do tego, co wkrótce przychodzi na świat, ale też ni do siebie, ni do swoich przyrodzonych uczuć. Groza mną wstrząsa, ile razy pomyślę, że Cię zrozumiałam, zaokrągliłam i widziałam Cię w obrazie, jaki sam malujesz o sobie.

Jeszcze tylko kilka dni mogę nosić mój przypadek w głębokiej tajemnicy i w kobiecej intymności. Dużo mi pomagała moja figura i dzisiejszy modny krój. Widzę to i przygotowana jestem na to, co przychodzi po tym. Wyjadę do mojej siostrzenicy z moją tajemnicą i ona będzie pierwsza, która się o niej dowie. Odsłonię ją jej bez obawy. Liczę, że ona mnie zrozumie i że udzieli mi pomocy na początek. A później? Jest kilka możliwości. Wybiorę najodpowiedniejszą. Mogę coś począć. Nie straszy mnie życie, lecz straszy mnie uczucie: wiecznie sama... Pomyśl trochę: Jak strasznie jest żyć z pełnią światła i radości w sercu, a z zamkniętymi ustami!

Maja.

I pod koniec listu pomyślał znowu to samo:

— Dla życia potrzebne jest mieszkanie, pożywienie, odzież i powietrze. To będzie mieć...

Nie znajdywał, by musiał przykładać wagę do słów Mai. Przypuszczał, że wszystko to jest i cierpkie i niemiłe i bolesne, lecz uważał, że można żyć i bez tego...

Rzucił list, lecz już nie do szuflady, ale na wiatr. Potargał go jak i wszystkie poprzednie i jak wszystkie poprzednie rzucił go na wiatr.

— Vito, wyjeżdżam jutro wczas rano.

— Wiem. Ksiądz proboszcz wyjeżdża zawsze wczas rano, — przytwierdził Vito, bo w tej chwili nie przyszło mu nic innego na myśl.

— Gdy wyjadę...

— Gdy ksiądz proboszcz wyjedzie...?

Wiem...

Wiem,
że ty przyjdziesz,
gdy w okna moje
srebrno-zielony blask księżyca spłynie,
i białe ręce,
jak skrzydła płomienne
na moje czoło zimne i kamienne.
położysz.

Wiem,
że ci będę plótł bolesne skargi.
nim dasz swe usta
i zamkniesz mi wargi.

Wiem,
że się nigdy nie oprę tęsknicy,
co mi się w serce, jak zarzewie wżarła:
czy będziesz żywa —
czy będziesz umarła — —

Wiem,
że się będziesz powtarzać co noc
dalekim echem wspomnień,
aż dzień,
parsknie śmiechem
zapomnień. —

Stanisław Mróz

— Na plebanii nie ma gościny. Ni szklanki wina nikt nie dostanie.

— No tak. Nie ma gospodarza, nie ma nic.

— Będzie przychodzić poczta...

— ?

— Będziesz ją czytał. To co będzie dla wsi i dla kościoła, dasz Don Josowi. Co będzie dla mnie, nie dasz nikomu, a ty sam, skoro tylko przeczytasz, zapomnij natychmiast, jakgdybyś umarł.

— Już nie żyję...

— Zresztą Don Joso jest moim zastępcą. On rozporządza domem i ty będziesz go słuchał, bo on jest odpowiedzialny. We wszystkim, wiesz, oprócz w tych rzeczach, co ci powiedziałem... Uważaj na wszystko, a gdy wrócę, żebyś mię poinformował o wszystkim!

Vito zachmurzył się i ze zmartwieniem chwycił się za głowę.

— Co takiego?

— Strach mię bierze.

— Nie przeczuwasz dobrego?

— Nie, — rzekł Vito krótko.

— Stary zabobonny marynarz! Zawsze jakieś przeczucia, jakgdybyś był na południowych morzach.

— A właśnie. Wie ksiądz proboszcz. odyśmy jeździli po morzach południowych, nie wiedzieliśmy nic ani o zegarze ani o kalendarzu, ale wiedzieliśmy zawsze wszystko. Na dziesięć dni naprzód czuliśmy burzę albo nieszczęście. Coś takiego leżało na siwej powierzchni morza, coś takiego było w koło nas w powietrzu, na okręcie...

— A cóż ci teraz leży?

— Niedobrze. Mówię księdzu proboszczowi, nie będzie dobrze, gdy księdza proboszcza tu nie będzie.

— A ja właśnie myślę, że lepiej będzie, jeśli wyjadę...

DIDI, WIEŚ JEST ROZPUSTNICĄ...!

Było już rozpalone nadmorskie lato, gdy Don Lovro wyruszył w daleką drogę. Morze leżało całymi dniami pod słońcem senne, zmęczone i bezbarwne. Wieś skwarzyła się na słońcu i bieliły się jej dachy. Vitowi wydawało się, jakgdyby całe życie stanęło w miejscu takie bezsilne i apatyczne, jak stają na morzu żaglowce, gdy je chwyci letnia cisza i gdy jakby lodowacieją w niej. Stoją bezradne i nieruchome. Stoją i czekają.

Vitowi zdawało się początkowo, że i wieś stoi i czeka...

— Kogo?

— Proboszcza, — myślał Vito.

Gdy nadeszła pierwsza niedziela po jego wyjeździe i gdy rozgrzana i wypoczęta wieś zeszła się do kościoła, wielu wstąpiło do Vita:

— Ksiądz proboszcz wyjechał?

— Wyjechał.

— Na długo?

— Może go nie będzie półtora miesiąca...

Ludzie spochmurnieli i popatrzyli w przyszłość na półtora miesiąca. Widocznie wydawało im się to długo. Więc powiedzieli mu:

— To długo.

Nic innego nie powiedzili. Odwrócili się i poszli na dziedziniec kościelny, gdzie się zbierała niedzielna wieś. Wesoła, radosna, umyta i napachniona mydłem i bazylią — jak zawsze. Stała w grupach i rozprawiała o swoich małych wydarzeniach, drobnych sensacjach i o małych radościach, jakgdyby się nic nie stało, jakgdyby proboszcz nie wyjechał na półtora miesiąca. Jakgdyby kropla kapnęła w morze, pomieszała się z nim i zginęła.

Don Joso był radosny i głośny — jak zawsze.

Weselił się ze wsią i żartował z ludźmi.

— Ksiądz kapelan bez gospodarza? — pytali go ludzie.

— Jak to bez gospodarza? Nigdy ja nie jestem bez gospodarza — i jeszcze ilu ich mam! W górze Bóg na niebie, tu w koło mnie wieś, a tam dalej jeszcze biskup. Wszystko sami gospodarze.

Wsi było przyjemnie, że taki piękny i kochany człowiek nazywa ją gospodarzem swoim.

— Co tam o nas.

— Jeśli wszyscy ci gospodarze są dla księdza kapelana tacy jak my...

— Nie wiem. Jabym może z tamtymi drugimi doszedł do końca, bo Bóg jest wysoko, a biskup daleko, ale wieś jest w koło mnie i wszystko widzi, wszystko wie, wszystko słyszy. Wieś to srogi gospodarz.

— My się wszyscy boimy wsi.

— Ksiądz proboszcz też?

— My wszyscy.

Wieś się śmiała i opowiadała, lecz nie wierzyła, że jest czyimś gospodarzem.

Kościół był pełny jak zawsze, dzwony dzwoniły, kobiety przychodziły do spowiednicy jak i zawsze. Początkowo ociągały się nieco te, które klękały przy proboszczowej, ale tylko przez kilka dni, a potem i one przychodziły do kapelanowej spowiednicy.

Ihtis drgał, przepuszczał to lekkie, to mocniejsze fale szeptu i drżenia — jak i zawsze. Kobiety przynosiły dary jak i przedtem. I Vito zapisywał je jak i przedtem. Otwarł nową wielką księgę. Don Lovro nie powiedział mu nic o księdze, lecz Vito uważał, że to potrzebne, aby mógł o wszystkim poinformować proboszcza, gdy wróci.

— Komu?

— Jak to komu?

— Boże kochany, proboszczowi czy kapelanowi?

— Kiedy proboszcza nie ma, to jakżebym dla niego...

— Dobrze, w takim razie to jest dla kapelana.

— Tak, dla kapelana, — potwierdzały kobiety i nosiły dalej.

Jedna snuła się za drugą, jedna niosła za drugą i powtórzyła się ta sama i stara opowieść z pierwszej księgi darów dla plebana kościoła Błogosławionej Dziewicy Wniebowziętej.

Vito zapisywał początkowo w milczeniu i nie zdradzał się.

— I to dla kapelana?

— Gdy ksiądz proboszcz wróci, przyniosę i dla niego.

— I wy?

Snuły się, wiły nazwiska za nazwiskami. Żeńska część wsi znosiła.

— Didi, ja zapisuję te, które porzuciły księdza proboszcza.

Dowie on się o wszystkim! — radośnie powiadamiał Vito małpę o swoim wynalazku i najchętniej spytałby się kogoś, czy nie miał dobrego pomysłu z tą księgą.

— Niech będzie wiadome, które to są...

Był jeszcze ciągle spokojny, bo wciąż dotąd przynosiły te, o których już i przedtem myślał, że się skłaniają ku kapelanowi i że go żałują biedaka.

Wpisami interesowała się i Kataluca i Ivajana. Chciały wiedzieć, kto się wpisuje i starały się, żeby się ich wpisało jak najwięcej.

— Czy jest wpisana i Mara Maćuhina?

Vito przerzucał przed nimi karty i czytał nazwiska ofiarodawców. Ivajana i Kataluca wykrzykiwały głośno podczas czytania:

— Jela Darakowa?

— Klara Soskowa?

— Antosia... I ona? Odwraca Pan Bóg, odwraca!

— Ech, co by ta Pan Bóg odwracał, jeśli kobiety przyniosły jaką drobnostkę. Teraz cała wieś jest pojednana z Bogiem, — gniewał się Vito i przestał przewracać karty wielkiej księgi i czytać imiona ofiarodawców.

Vito poczuł, że wieś się odwraca, jak się i wtedy odwracała, gdy oni tutaj przybyli.

— Jezusie mój drogi, słodki, jedyny... — wzdychała Kataluca przed kapelanem.

— Dobry człowiek, święte oko! — mówiła Ivajana o kapelanie.

— Czegośmy czekali, tegośmy doczekali... — mówiło się teraz po wsi, właśnie tak samo, jak się mówiło po wsi, gdy bogaty Matić był z gazdami u proboszcza na pojednaniu.

Vito przypomniał sobie swoje przeczucia. Vito bił małpę, bił ją ze samej złości, bo nie mógł bić nikogo innego.

— Wybacz, Didi... Nie chciałem ciebie... wybacz... — głaskał go po małpiej sierści w chwili, gdy się opamiętał i zrozumiał, że Didi nie jest winien niczemu.

Jednego ranka przyszła na plebanię Agata.

— Kiedy ksiądz proboszcz wraca?

— Nie wiem, Agato...

— Nic nie pisał?

— Pisał, że podróżuje. Daleko podróżuje...

— A możecie wy pisać do niego?

— Mogę, — rzekł Vito, aby usłyszeć, co by chciała Agata, żeby napisał proboszczowi. — A cóż miałbym mu pisać?

— Żeby wracał. Zaraz. Niech zaraz wraca. Nie będzie dobrze.

Vito nie pytał jej dalej o nic, bo i sam tak samo myślał.

— Nie będzie dobrze.

Vitowa księga zapełniała się i grubiała. Na plebanii był znów obfity dostatek. Kobiety przynosiły i zapisywały się w księgę. Vito widział, że już prawie wszystkie są zapisane oprócz Agaty Matićowej i jeszcze kilku młodych kobiet, które wcale nie przychodziły ni na plebanię, ni do kościoła.

— Ksiądz kapelan jest już bogatym człowiekiem. W tak krótkim czasie. Nie ma jeszcze nawet ani miesiąca, jak ksiądz proboszcz wyjechał, — mówił Vito do kapelana.

Kapelan popatrzył na niego pytająco, rozpalił się i jakby się szarpnął.

— Co to macie na myśli, Vito?

— Przynoszą księdzu...

— Mnie? Przynoszą dla nas wszystkich. Czyż ja to uważam za swoje? Czy ja to chowam dla siebie?

— Nie, nie... Chciałem tylko powiedzieć, Don José, że wieś księdza kapelana lubi... Miałem ja przepięknego kapitana Hiszpana, który się akurat tak samo nazywał: Don José. I młody był jak ksiądz kapelan i tak samo wesoły i lubieliśmy go wszyscy marynarze, akuracik tak samo jak i wieś księdza kapelana lubi.

— I co?

— Nic. Pożegnał nas i przeszedł na inny okręt.

— Pewno i tam marynarze go pokochali?

— Pokochali go.

— To i tam mu było cudownie?

— Tak, — potwierdził Vito.

— I co?

— A nic... Dobremu człowiekowi wszędzie jest dobrze.

— Nieprawdaż, że tak jest?

Vito potwierdził, lecz nie byłby przysięgał, że rozumiał kapelana Don Josa, który był dobry i wesoły, jak i jego Hiszpan, kapitan Don Jose.

— To niebezpieczne, Didi... Pierwszy kapelan sam odszedł, drugiego wypędziła wieś przez dobre powieści, trzeci zakon i bank, a Don Joso ani sam nie odejdzie, ani go wieś nie wypędzi...

Nikt już we wsi, oprócz kilku młodych kobiet, nie pytał o proboszcza. Ani gdzie jest, ani kiedy wróci. Wieś przylgnęła do kapelana i Don José zupełnie jej wystarczał.

Kobiety przynosiły datki, klękały przed spowiednicą i wstępowały na plebanię.

Don Joso wychodził pieszo do wsi i często wracał późno.

Na plebanię nie przychodził prawie ani jeden gazda. Zasłyszano zaraz na początku:

— Nie ma gospodarza, nie ma niczego.

Vito sądził, że proboszcz niemądrze z tym zarządził. Zdawało mu się, że mądrzej byłby zrobił, gdyby wieś pozostawił jemu, a nie kapelanowi. Zebrałby gazdów i ponalewał im:

— Pij, zostawiłeś, toć i weź!

— Toć to jest zadruga, bracie!

Nic. Nikt nie przychodził. Vito nic nie mówił. On tylko patrzył, jak i ostatni przechodzą na stronę kapelana.

I jedna Agata...

— Wieś jest rozpustnicą, Didi...!

*

Don Joso często bywał we wsi. Vito często przesiadywał osamotniały w cieniu pod dziką palmą przed plebanią i zabawiał się z Didim. Małpa była stale syta i zadowolona i za każdym razem, gdy Vito opowiadał, zachowywała się tak, jak gdyby ją pieścił. Czasem wstawała i zbliżała się do Vita, ale tak ciężko i bezwolnie, a potem znowu wracała na swoje poprzednie miejsce, by stąd patrzeć na niego niemo i zaspanie; zdawało się wtedy, że go słucha.

Nie słuchała go nigdy. Trudno sytej małpie słuchać i jeszcze tak często, jak często Vito opowiada...

— Ksiądz proboszcz pojechał. Ja wiem, że on nie pojechał sobie tak tylko... Pojechał, żeby o czymś zapomnieć i rozerwać się. Coś nie jest w porządku. Gdy ksiądz proboszcz jest sam, to zawsze coś rozmyśla i jest zmartwiony. Mnie się widzi, że to przez tego kapelana Don Joségo. Niebezpieczny to człowiek i nie dobrze, że on tu jest. Lepiej nam było z tamtym wyposzczonym, który się bał cegły, rzemienia i tępej brzytwy.

Ja coś jeszcze widziałem, Didi... Widziałem, że ksiądz proboszcz sposępniał po jednym liście ze starej parafii. To pewnikiem pisała do niego tamta panienka. Tyś jej nie widział, Didi? I ja też nie, ale słyszałem, jak tam mówili we wsi, że jest prześliczna. Dużo tam mówili o piękności nauczycielki Mai. Już ja mu, Didi, nie dam ani jednego listu, jaki przyjdzie z tamtej starej parafii. Męczą go te listy, bo też i jest czym się trapić. Dwa już przyszły. Najpierw Maja pisała, że porzuca wieś, potem pisała, że umieściła się u swojej siostrzenicy w mieście, gdzieś daleko w mieście. Jeszcze jej nie powiedziała, po co przyjechała, ale czuje, że wnet będzie musiała jej to powiedzieć.

POZNAJĘ, ŻE NIE JESTEŚ CZŁOWIEKIEM...

Przyszedł jeszcze jeden list od Mai.

Vito począł już mruczeć, gdy na adresie poznał jej pismo.

— Znowu? Czegóż ta znowu chce?

Nie spodziewałam się, Loro iż w takich okolicznościach poznam, że nie jesteś człowiekiem, człowiekiem jak inni ludzie. Mówiłeś mi o tym, ale zawsze, gdy Cię słuchałam, wierzyłam, że to tylko jedna z Twoich ucieczek w dal... Teraz z przerażeniem poznaję, że mówiłeś prawdę i że rzeczywiście nie jesteś człowiekiem. Wraz z tym poznaniem czuję całą grozę młodego, pięknego i upojnego człowieka, który jednak nie jest człowiekiem. Niegdyś był to paradoks, a ja go nawet nie mogłam rozumieć, bo skądże...? Dla mnie byłeś najdroższym człowiekiem, moim mężczyzną, skądżebym więc mogła wiedzieć, że dla wszystkich jesteś czymś innym, co nie jest pełnym i normalnym człowiekiem. Zdaje mi się, że dla tych, co wierzą, czymś więcej niż człowiekiem, a dla tych, co nie wierzą, czymś mniej niż człowiekiem. Nie wiedziałam o tym. Gdybyś wiedział, ile męki i bólu kosztuje mnie to poznanie?

Gdy przyjechałam do siostrzenicy (Nika jej na imię), poczułam, że i ta siostrzenica jest dla mnie za obca i daleka, bym ją dopuściła bliżej do misterium, które noszę głęboko w sobie... Ociągałam się, lecz nie dało się długo odkładać, nowy obywatel naglił.

Niegdyś myślałam, że to będzie łatwe i proste powiedzieć siostrzenicy: „Droga Niko, zostanę wnet matką dziecka miłości...“ I wtedy, gdy jej to mówiłam, nie wyczuwałam, skąd to jej przerażenie, które przeczuwałam. Poruszona była, gdy pojęła, że idzie o dziecko kobiety niezamężnej, ale niepokój jej był znośny i dla niej i dla mnie, dopiero gdy mnie zapytała: „Czyje? Kto on, czym on?“ Gdy usłyszała ode mnie prawdę, ryknęła z bólu! Nie, to nie był ból, lecz przerażenie wstrętu, jakiejś ohydy...

— „Ksiądz? To z księdzem?“ Trzęsła się, płakała konwulsyjnie i powtarzała: „Z księdzem!“ Nie wstrząsnął mną ani jej płacz, ani jej lament. Poraziła mnie szczerość jej przerażenia. Nie tylko że ja sama to zobaczyłam, lecz i ona wyraźnie powiedziała. „Żeby to choć był kto inny...“ Nie byłoby ni tych konwulsyj, ni tego przerażenia. Nie byłoby ani tej wzgardy, ani tego wstrętu, z jakim mię po moim wyznaniu traktowała. Loro, przekonana jestem, że nie byłby jej tyle przeraził żaden mój kochanek, chociażby nawet z królestwa zwierzęcego, ile ją przeraził ten jeden i jedyny. Ten zresztą normalny, cudny i silny mężczyzna. „Kochałam go, Niko, piękny był, nie można się mu było oprzeć...“

Nie mogła zrozumieć tej siły i tej niemożności oparcia się. Pluła po mnie spojrzeniami i wyrzucała z siebie wszystkie dobre myśli i wszelkie bliższe uczucia względem mnie. Byłam już zupełnie przekonana, że się oszukałam w mych rachubach, że dożyłam katastrofy. Cała moja podstawa runęła jak domek z kart. W tym momencie znalazłam się zupełnie sama, bezradna i jakby stracona. Zobaczyłam jeszcze i to, że głupio zrobiłam, iż odrzuciłam Twoją propozycję i Twoje pieniądze.

Myślałam, że Nika przyjdzie może do rozsądniejszych i przyrodzonych myśli. Oczekiwałam, że noworodek swoimi pierwszymi płaczliwymi krzykami przekona ją o swojej niewinności i o swoim prawie. Doczekałam, że mi pozwoliła odbyć poród w tajemnicy w jej mieszkaniu, w budynku na skraju miasta, gdzie można żyć jak w pustyni i gdzie nikt do niej nie przychodzi. Nie uczyniła tego ze względu na mnie, lecz ze względu na siebie. Jeślibym rodziła w szpitalu, ludzie dowiedzieliby się o hańbie jej rodziny, krwi, nazwiska i ona musiałaby się wstydzić, bo mówi: „To nasza hańba. To hańbi całą rodzinę“.

Patrzę na nią codziennie, jak jest wystraszona i jak drży... boi się, drży przed wszystkim. W ogrodzie, gdzieś koło domu zaigra wiatr jakimś suchym liściem lub kawałkiem papieru: „Och, ktoś idzie...? —“ cierpnie, przelatuje ją dreszcz, chce pobiec do okna, lecz chwieje się i nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Na drodze, na pustej i zapuszczonej drodze odezwą się czyjeś kroki. Ona nie ma siły, by zobaczyć, kto przechodzi. Siedzi jak skamieniała, z napięciem nadsłuchuje i liczy kroki, które przechodzą.

„Poszedł dalej...“ — szepce z ulgą. Pojawi się jaki pojazd na tym krańcu miasta, co jest wielką rzadkością, ona wstrzymuje oddech, póki nie przejedzie dalej mimo jej domu. I potem jeszcze, gdy już przejechał, nadsłuchuje, czy przypadkiem się nie zatrzyma...

Czuję, jakim nieszczęściem jestem w jej życiu i pod jej dachem. Kropla po kropli czasu pada, jej spojrzenia pełne przerażenia i wstrętu kapią po mnie, kropla po kropli. Strach jej kapie po moich uczuciach. Zaraża mnie, ja sama nawet jak gdybym czuła, że jestem czymś okropnym i że okropnością jest to maleństwo śliczne przy mnie. Pod siłą tego kapania poczułam, poznałam, że ty jednak nie jesteś człowiekiem, jak inni ludzie. Miałeś słuszność i wtedy, gdy mi o tym mówiłeś i wtedy, gdy mi ofiarowałeś pieniądze... Daremne są dla mnie podszepty rozumu i czystej rzeczywistości, ja widzę jej strach, patrzę na jej przerażenie. Wiem, że tak przerażają się wszyscy naiwni i niewinni, a ci nie są najgorsi... Wiem, że dla wszystkich jestem śmieszna i stracona. Dla wszystkich! Z godziny na godzinę.

Tak, on już jest! Syn! Prześliczny chłopczyk. Ty w malcu...

„Ej-cha! Ale śliczny!“ — zawołała akuszerka, która mechanicznie spełniała swoje. Przy połogu nie obchodzi jej nic, tylko główka, kostki i wielkość dziecka. I dlatego orzekła, że Twój chłopak jest prześliczny. Ta chłodna i nieczuła kobieta była dla mnie właśnie przez ten jej chłód i apatię najbliższą istotą, jaką poczułam w swoim pobliżu, bo była człowiekiem, który spełnił swój obowiązek, wziął swoją zapłatę i powiedział: „Dziękuję!“ To — i nic więcej.

Chłopak płacze pełnymi piersiczkami. Głos jego jest mocny i pełny życia. Jak giez przylepia się do piersi i ssie... ssie... W miarę jak mleko napełnia jego mały żołądek, tak na jego twarzyczce zaznacza się spokój i błogość. Zdrowe i błogie jest to maleństwo. Ono nie pyta jeszcze o nic... Nie wie nic o rozpaczy swojej krewniaczki, ani o jej płaciu i wzgardzie. Czuję, jak nienawistnym jest dla niej to maleństwo jako płód grzechu i diabła. Moja siostrzenica pluje po nim w zastępstwie za te miliony tych, którzy Tobie nie dadzą być człowiekiem, tylko uczynili Cię jakąś swoją dekoracją, jakimś „opium“ — jakbyś to Ty powiedział. Widzę ich wszystkich w niej i każdego z osobna. Miliony plują po miękkich, pulchnych policzkach mojego dzieciątka. Przeklinają je i wyrażają mu swoją wzgardę.

Chłopak jest piękny. On jest dowodem, że Ty jesteś pięknym, żywym i prawdziwym człowiekiem, a nie instytucją, ni czarną opiumową materią dla wsi. W ten sposób mam dowód twego człowieczeństwa.

Loro, żal mi Ciebie i tych milionów. Siebie mi nie żal, ani mi żal mojego dziecka. Myśmy nic nieczłowieczego nie uczynili. My oboje znajdujemy się na linii przyrody, w bróździe życia. Spostrzegłam, że muszę posunąć się dalej, przynajmniej jeszcze o czterdzieści kilometrów dalej. Dla Ciebie i dla niego. Zrobię to, dlaczego by nie?

Przyjmuję wszystkie Twoje propozycje. Po siostrzenicy widzę, że więcej nie ma już dla mnie powrotu do szkoły. Przyjmuję Twoje pieniądze. Wezmę, będę żyć i będę czekać, że nas pewnego dnia poszukasz, może przecież pewnego dnia spragniesz się swego człowieczeństwa. Gdy się to stanie, przybądź, damy Ci pełne jego dowody...

Mam bardzo mało pieniędzy. Odpowiedz mi zaraz, poślij mi zaraz, bym zaraz mogła się znaleźć 220 kilometrów od Ciebie. Na tej odległości będziesz żył jako człowiek, a wszędzie gdzie indziej jako jakaś instytucja lub jako jakiś twór, czarny twór dla użytku wsi.

Maja.

Dalszy ciąg nastąpi

CIOCIA ANNA JAKO WYLĘGARKA

Kupił Knotek jaj od Motka
I postawił je pod ławę...
Będzie miała z tego ciotka
Smaczny prezent i przyprawę.

Już nadchodzi posuwiście
Zwinna, lekka jak tancerka
Ciocia Anna — oczywiście,
I z pod okularów zerka.

Wnet usiadła i jak prządka
Wciąż drutami oczka chwyta,
Długą nitkę ciągnie z kłębka...
Knotek zaś gazetę czyta.....

Wreszcie z ławki ciotka wstała
Za nią zaś — o dziwo! — rzędem
Piskląt mknie gromadka mała
Biegnie, goni całym pędem.

Malowane kwiaty — DLA PIĘKNYCH KOBIET

Kiedy w upalne dni letnie obserwujemy życie ulicy, pełne słońca i trochę leniwego ruchu, rzucają się w oczy przede wszystkim barwne jak motyle lub jak żywe kwiaty suknie kobiece. Możnaby powiedzieć, że ulica jest wtedy „bajecznie kolorowa" tak wielkie jest wtedy bogactwo barw. Każda kobieta chce bowiem — i całkiem słusznie — mieć swój własny kolor, taki w którym jej do twarzy, lub też taki, jakiego nie ma ani jej przyjaciółka ani też inne znajome. To jej dążenie do „indywidualności" mogła każda kobieta do niedawna — bo do czasu wojny — łatwo zaspokoić. Ileż to razy ręce jej przebierające w sklepach materiały na sukienki wprost pławiły się w kolorach najpiękniejszych i harmonijnie dobranych a oczy mogły napatrzeć się do syta na te „cuda". Każda pani mogła też zestawiać kolory według jej własnego gustu i rodzaju urody. Co do tego, nie kosztowało to jej nawet wiele wysiłku, gdyż wielkie firmy tekstylne, dostarczające tych materiałów, same dbały nietylko o to, by wyroby ich odpowiadały tym przeróżnym gustom kob ie nieraz bardzo kapryśnych, lecz by to co pokazywały na „jarmarku próżności" stanowiło równocześnie rzecz przyjemną dla oka, kształciło nasz smak estetyczny i było zarazem reklamą dla samej firmy.

Podziwiając tak często sukienkę z miękkiego jedwabiu, georgety a nawet z perkalu, widzimy jedynie całość, która nas zachwyca, dziwimy się, że rzecz tak ładna może wyjść spod maszyny, nie zdajemy sobie natomiast sprawy z tego, ile pracy to kosztuje i jak ta praca w rzeczywistości wygląda.

Przede wszystkim musi być każdy materiał a raczej jego wzór zaprojektowany przez rysowników, którzy są nieraz skończonymi artystami. Zaprojektowanie nie jest i nie może być rzeczą znowu tak łatwą jeżeli się zważy, że mają to być wzory oryginalne, nie powtarzające się, nowe.

Jak powstaje więc taki materiał we wzory? Przede wszystkim rysuje artysta nasamprzód sam wzór na odpowiednim kartonie. Poczem robi się zdjęcie tego wzoru, jak to widzimy na jednej z naszych ilustracyj. Z tego filmu sporządza się następnie szablon drukarski, który wreszcie nakłada się na materiał rozłożony na specjalnych warsztatach. Poczem puszcza się na to wszystko farbę. Jest jeszcze inny sposób sporządzania wzoru, jak to nam również ilustruje jedno ze zdjęć. Mianowicie nie rysuje się go, lecz rzeźbi w drzewie. Jest to więc rodzaj matrycy, przy pomocy której wyciska drukarz wzory już wprost na materiale. Naturalnie materiały tłoczone w ten sposób są droższe w cenie, gdyż należą do rzadszych i piękniejszych, i każdy metr kwadratowy musi przejść przez ręce drukarza. Normalnie jednak wychodzą materiały spod maszyny tak jak czasopisma spod prasy drukarskiej, ta jest jedynie różnica, że przy tych pierwszych zwracać należy większą uwagę na równomierne rozłożenie kolorów i utrwalenie ich.

Historia materiałów we wzory nie jest wcale tak nowa. Płótna we wzory kwiatowe znane są już w XVIII wieku, kiedy to we Francji zwłaszcza powstały za panowania Ludwika XIV liczne fabryki tego rodzaju dochodzące do monopolistycznego stanowiska w Europie. Wyrabiano wtedy przede wszystkim materiały znane pod nazwą „kretonów", które używane były jako pokrycia na meble, i jako tapety na ściany, a oprócz tego lekkie materiały na suknie. Jak piękne były te materiały, tego ślady widzimy jeszcze dzisiaj na meblach, które możemy oglądać po muzeach, a nieraz także jeszcze i w domach. Po pewnym zastoju w zakresie płócien meblowych, dochodzą one dzisiaj znowu do głosu, jakkolwiek w innym guście i wykonaniu.

Za to górują dzisiaj wzory na jedwabiach i innych materiałach na suknie kobiece. Gdy w gorące południe piękna pani ubrana w najnowsze kreacje wychodzi na przechadzkę ze znajomymi, nie spodziewa się ona nawet, ile było potrzeba wstępnych przygotowań, aby mogła ona czarować swoim nowym strojem.

Gotowy film trzeba przejrzeć dokładnie zanim zamieni się w szablon drukarski.

Artysta po namalowaniu kwiatów podmalowuje tło.

Tutaj znowu powstaje inny wzór kwiatowy.

Drukarz wyciska ręcznie wzory zapomocą drewnianego modelu.

Właściwe drukowanie wzorów. Drukarz przeciąga farbę przy pomocy specjalnego wałca. Szablon ujęty jest w ramy, które można przesuwać coraz dalej.

Fot. Presse Ill.



W kole: Tak wygląda model rzeźbiony. Z niego sporządzi się drewnianą matrycę, przy pomocy której drukarz będzie wyciskał ręcznie wzory na materiale.





»Hollywood«

»Tajemnice Hollywood«

Zacznijmy tym razem od finału i posłużmy się programowym tekstem, który przytaczam in extenso: „Tajemnice Hollywood" — amerykańska bujda na krajowych resorach — wypocił T. Ortym". Otóż w tym tkwi rozwiązanie wszystkiego. Te „wypociny Ortymowskie" od szeregu miesięcy rozkładają rewię za rewią, wywlekając najohydniejsze brudy, pornografię, wulgarność i straszliwą płyciznę banału — w dodatku ku utrapieniu publiczności „autor" we własnej rzewnej osobie recytuje swe „kuchenne arcydzieła". Ani dykcji, ani krzty aktorstwa, za to dużo fałszywego patosu popartego skrzeczącym głosem — to prawdziwe „Tajemnice Hollywoodu".

Miejmy nadzieję, że odpowiednie czynniki po smutnych doświadczeniach — u progu sezonu powołają na tak ważne stanowisko kierownika literackiego, człowieka odpowiedzialnego, który wymaże w naszej pamięci wspomnienia „upiora z Hollywoodu". Bo Hollywood ma wszelkie dane, aby stać się teatrem z prawdziwego zdarzenia. Jest kwartet „tęgich" aktorów — Dominiak, Grabowski, Łapiński, Łuszczewski — jest, bezsprzecznie najpiękniejszy bas scen warszawskich — Edward Bender, pięknogłosa Sława Bestani, szereg utalentowanych tancerek — Karczmarewicz, Vetterówna, Kamińska, Michalska, uzdolniony Bielewicz — brakuje tylko fachowej ręki i kulturalnej głowy człowieka, który by umiał te wszystkie elementy odpowiednio zużytkować — zaprosić do współpracy literatów, a nie traktować teatr jak własne podwórko. Życzymy tego teatrowi z całego serca i wierzymy, że nowy nadchodzący sezon, będzie obfitował w piękne pozycje artystyczne ku naszej obopólnej radości!

Czesław Pudłowski

U góry na lewo: Łuszczewski i Dominiak w rewii „Tajemnice Hollywood".



W kole: Skecz „Modelka — rewia „Tajemnice Hollywood" — Polakówna i Łapiński.

»UL« — »Ogórek, rzepka, kalarepka«

W „Ulu" program, jak tytuł rewii wskazuje, wybitnie jarski. Mocną pozycją są wyjątkowo udane skecze, trochę za wolno grane (ach! to tempo szwankuje stale — byle bujdę celebruje się tasiemcowo, często z powodu nieopanowania tekstu) wykonawcy — niezawodny Węgrzyn, Grossówna, Chmurkowska, Parysiewicz, Winiarska, Pawłowski, Wilanowski — na poziomie.

Słabsze są solówki — wybitnie daje się odczuwać brak Stefci Górskiej, która opromienia teraz swoim wdziękiem i talentem „Trójkę hultajską".

Urocza Grossówna ma tylko jedną solówkę, a szkoda! W zredukowanym do minimum zespole zabrakło amanta, więc p. Wilanowskiemu kazano śpiewać. P. Wilanowski tak śpiewa, jak mówi, więc po co mówi, że śpiewa!

Doskonały monolog najzdolniejszego chyba rewiowego tekstodawcy Tadeusza Chrzanowskiego pierwszorzędnie — z umiarem i wdziękiem — recytuje „spec" w tej dziedzinie — Maria Chmurkowska. Bittnerówna i Kaplński — rozdzielili się w pierwszej części, aby w drugiej znów uraczyć nas estetycznym duetem. Wielokrotnie już podziwiana mimika aktorska tej pary — owa rzadko spotykana „dusza w tańcu"; kontrast prawdziwej męskości (biały kruk wśród młodych tancerzy) Kaplińskiego i słodkiej kobiecości Bittnerówny — stawia ich zdecydowanie na czele duetów. Przy tym widać, że nie spoczywają na laurach a dalej pracują nad sobą — Brawo!



Chmurkowska i Parysiewicz w rewii „Ogórek, rzepka, kalarepka" w teatrze „Ul".

Fot. Łuczyński

Uwaga! Fotoamatorzy!



Zdjęcie pierwsze zatytułowane „Odpoczynek" możnaby nazwać dobrze „sceną zbiorową", tyle tu jest osób. Jak w teatrze trudno jest przeprowadzić sceny zbiorowe tak, by czyniły pożądane wrażenie, tak też i w fotografii trzeba baczyć na to, by każdy z osobna i wszyscy razem tworzyli miły dla oka obrazek. P. A. Śmietański z Lublina, którego zdjęcie — co miło nam stwierdzić — idzie w naszym kąciku poraz drugi, dał sobie doskonale radę. Mimo że osób na zdjęciu jest bardzo wiele, żadna nie wydaje się tam zbyteczna i każda jest w innym ruchu. W ogóle zdjęcie aż kipi życiem, aż drga od ruchu. Przypuszczamy, że była to dla p. Śmietańskiego gratka, która się nie często trafia. Zdjęcie wykonano ap. Retina i przesł. 5.6 czas 1/50 sek. Drugie zdjęcie oprócz miłego tematu, jest bardzo dobrze zrobione. Prosimy zaobserwować cienie na ciele tych chłopców. Widać zupełnie wyraźnie, że są oni mokrzy. „Kąpiel" wykonał p. Konopka z Krakowa, ap. Retina, czas 1/500 sek.





TO JUŻ NIEPOTRZEBNE

Renata: — Au, mam komara na nodze!

Karol: — Nie opowiadaj historyj. To było dobre, gdyśmy się dopiero poznali.

NIEZRĘCZNA

Pani Trzonek jest na spacerze z jakimś małym dzieckiem. Spotyka ją pani Wiaderko: — A; dzień dobry pani, dawno pani nie widziałam. Jakie śliczne dziecko pani wiezie. Chłopiec czy dziewczynka?

— Chłopiec — mówi pani Trzonek.

— Ach, jaki podobny do ojca! Wprost wykapany ojciec! — zachwyca się pani Wiaderko.

— Co też pani do głowy wpadło? Przecież to dziecko jest mojej sąsiadki!



Hallo, czy posterunek policji? Ratunku! Tu włamywacz! (Aftenposten, Dania)



Krótkowidz: Izabelo! Jak mocno twe serduszko bije. (Marc Aurelio)

*

DOBRY MATERIAŁ NA ŻONĘ

— Dlaczego tak się zamyśliłaś, Irenko?

— Nie zamyśliłam się wcale.

— Ale przez cały czas nic nie mówisz?

— Bo w tej chwili nie mam nic do powiedzenia.

— Czy nigdy nie mówisz, gdy nie masz nic do powiedzenia?

— Nigdy.

— Doskonale! Czy chcesz w takim razie zostać moją żoną?

*

POWÓD

— Okropność! moja biedna żona często nie zmruży całą noc oczu.

— Czy cierpi na bezsenność?

— Nie. Tylko zawsze czeka na mój powrót.

*

— Twój dowcip o roztargnionym profesorze, który idąc spać, położył ubranie do łóżka a sam przewiesił się przez poręcz krzesła jest niezły, ale nie myśl, że tylko profesorzy są roztargnieni. Znałem handlarza, który ilekroć chciał jechać na targ wkładał konia na wóz a sam się zaprzęgał do wozu.

— A kiedy spostrzegał swą pomyłkę?

— Gdy, chciał rżeć.

*

— Nie zauważyłeś, skarbie, jak wszyscy ludzie na ulicy na nas patrzą? Czy to odnosi się do ciebie czy do mnie?

— Do ciebie.

— Tak sądzisz? dlaczego?

— Zazdroszczą ci męża.



W SKLEPIE MEBLOWYM

— Ten kredens jest zupełnie zniszczony!

— Przepraszam. Ależ to jest angielski Empire. (Marc Aurelio)

Skrzynka pocztowa. Pytanie 2398: Jak usunąć najlepiej nieznośne skrzypienie drzwi kuchennych?

Odpowiedź: Pozwolić pomocnicy domowej na odwiedziny najdroższego. Po drugich lub trzecich odwiedzinach drzwi skrzypieć przestaną.

*

— Nie rozumiem jak można tak jednego papierosa za drugim palić.

— Siła woli, moja droga, tylko siła woli.

*

NIEPRZYJEMNE PYTANIE

Pani Klicik zwraca się do męża i mówi: — Musimy być ostrożniejsi z naszymi rozmowami w obecności Urszulki. Mała zaczyna się wszystkiemu dziwić i stawiać potem nieprzyjemne pytania.

— Jakie naprzykład?

— Np.: Dlaczego ja za ciebie zamąż wyszłam?.

SZACHY

Dokończenie uwag z Nr. 28 I. K. P.

(9) Zadaniowe posunięcie decydujące.

(10) 16... S×c4? 17. W×e6! i H stracony. 16... K—e7 17. S×d6 H×d6 18. H×d6 K×d6 19. G×f7 G—d8 20. Wa—d1 czarne tracą 2 piony.

(11) 18... H—d6 19. H—d4 H×b7 20. W×e6 z wygraną. słabym byłoby 19. H—d5 z powodu: W—h5! 20. H—e4 W—a7!

(12) Białe otrzymują przewagę figury. Do wygranej wystarczało też: 19. H—d4 H×b7 20. H×g7.

(13) Lub 19... S—c6 20. H—c5.

(14) Po wyparciu czarnej wieży z 5 linii będzie mogło nastąpić S—c5.

KĄCIK SZACHOWY Nr. 18 (21).

A. DZIAŁ ZADAŃ.

3-chodówka Nr. 18 (21).

S. Helweg (I. nagr. — „Skakbladet" 1936).

Czarne: Kd4, Wa1, Gh8, Sd7, pion: h6(5).

Białe: Kh3, Wc3, Ge7 f1, Sf7, g6, piony: c4, c7, d2, d3, g3, g5, h2(13)

3-chodówka. 13+5 = 18.

Mat w 3 posunięciach

Końcówka (studium) Nr. 18 (21).

W. i M. Platow („Rigaer Tageblatt" 1905)

Czarne: Kh4, Ha8, Ge6, piony: a7, h5(5).

Białe: Kh2, Ge5, f1, piony: f2, h3(5).

Końcówka (=) 5+5 = 10.

Białe zaczynają i remisują.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 17 (20) (Nemo): 1. H—h1 (grozi 2. S—c7† i 3. ×.) I. 1... K—c6 2. W—d4† i 3. ×. II. 1... G—d4 2. W×e3† i 3. ×. III. 1... G—d6 2. S—b6† i 3. ×. IV. 1... G—b6 (—a7) 2. S—b4† i 3. ×. V. 1... G—e7 2. S×e7† i 3. ×. VI. 1... S—e6 2. W×f4† i 3. ×. VII. 1... S—d7 2. g8 H, G i 3. ×.

Rozwiązanie końcówki Nr. 17 (20) (Kubbel): 1. S—h5 W—g4† 2. K—c3 W×a4 3. K—b3 W—e4 (—g4) 4. S—f6† i wygrywa; 3... W—a1 lub —d4 4. G—c3† i wygrywa.

B. DZIAŁ PARTII.

PARTIA Nr. 31 (34)

Białe: Belawenec — Czarne: Cristiakow

grana w turnieju w Kijowie w r. 1938.

Obrona francuska.

1.	d4	e6	12.	Wh—b1?	H—c7
2.	e4	d5	13.	H—h4	G—d7
3.	S—c3	S—f6	14.	H—f6	W—g8
4.	G—g5	G—b4	15.	h4	W—c8
5.	e5	h6	16.	h5	g×h5
6.	G—d2	G×c3	17.	H×h6	c×d4
7.	b×c3	S—e4	18.	c×d4	S×d4!!
8.	H—g4	g6	19.	S×d4	H—c3†
9.	G—d3	S×d2	20.	K—e3	W—c4
10.	K×d2	c5	21.	H—f4(1)	W—g4
11.	S—f3	S—c6	22.	S—e2	W—e4†

Białe poddały się.

UWAGI:

(1) 21. S—f3 W—e4 mat. S—e2 d4† itd. 21. S—b3 W—e4† 22. K—f3 H×e5 23. g3 h4.

PARTIA Nr. 32 (35)

Białe: Wijnans — Czarne: van den Bosch

grana w turn. o mistrz. Holandii 1939.

Gambit hetmana.

1.	d4	S—f6	20.	S×g5	H—d8!(5)
2.	S—f3	d5	21.	S—f3	H—f6
3.	c4	e6	22.	S—e4	H—h6
4.	S—c3	Sb—d7	23.	W—c3(6)	f5
5.	e3	a6	24.	Se—g5(7)	S×h2(8)
6.	H—c2	d×c4	25.	S×h2	H×g5
7.	G×c4	b5	26.	S—f3	H—h6
8.	G—e2	G—b7	27.	K—g2	f4
9.	a3	c5	28.	H—c2(9)	f×g3!
10.	0—0	W—c8(1)	29.	W—h1	W×f3!(10)
11.	H—b3	G—e7	30.	W×h6(11)	W×f2
12.	S—e5	0—0	31.	H×f2	g×f2
13.	G—f3	G×f3	32.	W—h1	W—f8!(12)
14.	S×f3(2)	H—c7	33.	W—d3(13)	S×b2
15.	G—d2	c×d4	34.	W—d2	S—c4
16.	e×d4	S—b6	35.	W—f2	W×f2
17.	Wa—c1	S—c4	36.	K×f2	S×a3
18.	G—g5	S—g4(3)	37.	W—a1	b4
19.	g3(4)	G×g5	38.	W—c1	b3

Białe poddały się (14).

UWAGI:

(1) Białe rozegrały otwarcie niecałkiem ambitnie, nie korzystając z możności grania G—g5, tak że czarne wygodnie wyrównały grę.

(2) Ten manewr był stratą tempa.

(3) Czarne przechodzą do ataku, rozpoczyna się taktyczna, najciekawsza część partii.

(4) Wprawdzie 19. G×e7 było niemożliwym z powodu S—d2!!, jednak pomimo to białe mogłyby uniknąć tego osłabienia. Należało spróbować 19. G—e3 Sg×e3 20. f×e3 S×e3 21. S—d5!

(5) 20... S—d2? 21. H—c2!

(6) Groziło 23... Sc—e5! z atakiem na S—f3, który musi pilnować punktu h2 i na wieżę c1.

(7) Wymuszone, gdyż po 24. S—c5 W×c5! 25. d×c5 S—d2! rozstrzyga. 24... W×c5 było koniecznym, gdyż w razie 24... S—d2 białe mają wyjście 25. H×e6†. Wszystkie te zwroty pouczające wynikają z osłabienia pola h2.

(8) Jako pierwszy owoc dobrego prowadzenia gry czarne inkasują piona przy trwałym ataku.

(9) Dlaczego nie 28. W—h1? Ponieważ po 28... H—g6 grozi 29... S—e3†!

(10) Bardzo pięknie zagrano. Po ataku na punkt h2 dalszy atak czarnych oparty jest na zasadzie silnego punktu oparcia c4.

(11) Po 30. W×f3 S—e3† 31. W×e3 H×h1† 32. K×h1 W×c2 czarne mają wygraną końcówkę.

(12) Po tym posunięciu, które grozi S—d2, są białe zmuszone do dalszego upustu krwi.

(13) Pozycja ta zawiera piękny zwrot podwójny: A) 33. W—f3 W×f3! 34. K×f3 f1H† 35. W×f1 S—d2†! B) 33. W—f1 S—d2! 34. W×f2 W×f2† 35. K×f2 S—e4†! Białe bronią pola d2, lecz tracą piony na hetmańskim skrzydle.

(14) Po 39. W—c8 K—f7 40. W—b8 nastąpi S—b5. Czarne otrzymały za tę partię premię, jako za najpiękniejszą partię turnieju.



Aleksander Patou młody, sławny pisarz postanawia napisać komedię, której akcja toczy się na przedmieściu. W poszukiwaniu typów zwiedza podmiejskie knajpy i poznaje w jednej z nich uroczą dziewczynę Nanette. Po krótkiej znajomości wywiązuje się między młodymi przyjaźń. Nanette staje się źródłem natchnienia Patou, toteż w krótkim czasie dzieło jest gotowe. Nanette postanawia dopomóc najdroższemu do wystawienia komedii. Wystawia pierwsze dzieło ukochanego. Przy jej pomocy zabłyśnie on w świecie — myśli ucieszona. Radość ta nie długo jednak trwała, Nanette dowiaduje się o prawdziwym nazwisku autora, dowiaduje się, że jest on sławny, że pisał już wiele. Dlaczego zataił kim jest! Może kpił z niej! Nanette zrywa z nim, stara się zemścić przy pomocy swych przyjaciół, którzy mają wygwizdać sztukę. Zemstę tę udaremnia dyrektor teatru Miller. Patou szczerze zmartwiony odejściem dziewczyny uświadamia sobie dopiero teraz jak ją kocha.

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr 900